

Biblioteka
U.M.K.
Toruń

344926

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

TUMOR MÓZGOWICZ

DRAMAT W 3 AKTACH Z PROLOGIEM



19 KRAKÓW 21.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ „FALA” SP. Z OGR. ODP.

TUMOR MÓZGOWICZ

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

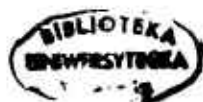
TUMOR MÓZGOWICZ

DRAMAT W 3 AKTACH Z PROLOGIEM



19 KRAKÓW 21.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ „FALA” SP. Z OGR. ODP.



CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM J. DZIUBANOWSKIEGO.

*Poświęcone
pani Zofji i Tadeuszowi
Żeleńskim.*

WSTĘP TEORETYCZNY.

Jest faktem nieraz już stwierdzonym, że teatr powstał z religijnych misterjów. Tak było w starożytnej Grecji i procesowi powstania greckiej tragedji, odpowiadają początki nowożytnego teatru na przełomie wieków średnich. Niekoniecznie jednak wrażenie artystyczne musi być związane z wyrazem uczuć religijnych jako takich. Może ono być wynikiem kontemplacji samej formy, niezależnie od tego, czy treść życiowa danego dzieła będzie miała bezpośredni związek z metafizycznymi przeżyciami, czy nie. Teatr, wskutek tego, że elementami jego są działania istot żywych, stracił powoli charakter religijny, a treść istotna, formalna, zredukowana została do środka pomocniczego w celu, symbolicznego lub realnego, spotęgowanego przedstawienia życia i związanych z niem problemów.

Istotą sztuki w ogóle jest bezpośrednio dana jedność osobowości, czyli to, co nazywamy uczuciem metafizycznym, wyrażona w konstrukcji jakichkolwiek elementów, a więc: barw, dźwięków, słów lub działań. Malarstwo i muzyka posiadają elementy jednorodne. Poezja, oprócz wartości dźwiękowych i możliwości wy-

woływania obrazów wzrokowych, operuje jeszcze pojęciami, których znaczenia są według nas równie dobrym materiałem artystycznym, jak każda czysta jakość. W teatrze dołączają się do tego jeszcze działania, jakichkolwiek zresztą istnień poszczególnych. Poezja więc i teatr są w przeciwieństwie do sztuk prostych: malarstwa i muzyki, sztukami złożonemi. Każde dzieło sztuki malarskiej posiada, oprócz czysto formalnych wartości: kompozycji, harmonji barw i ujęcia formy, treść przedmiotową, która pochodzi z tego, że uczucie metafizyczne, ogólnie jedno i to samo u wszystkich istnień poszczególnych, polaryzuje się w psychice danego osobnika, stwarzając sobie indywidualną formę, tem bardziej oderwaną jako czysta konstrukcja, im więcej skondenzowaną jest osobistość stwarzającego ją indywiduum. W istocie artystycznej twórczości tkwi więc pewna immanentna sprzeczność.

Tem, czem świat przedmiotów i wyobrażeń jest w malarstwie, tem jest świat uczuć w muzyce i tem samem jest sfera sensu pojęciowego w poezji i sensu działań w teatrze. Jeśli uznamy treść formalną, t. zn. konstrukcję samą dla siebie dzieła sztuki, za jego istotę, nie powinny nas już obchodzić nieistotne, a tem niemniej konieczne elementy samego procesu tworzenia, mające tylko związek pośredni z dziełem już dokonanem. W tem oświeceniu deformacja świata zewnętrznego w malarstwie, nietrzymanie się logiki uczuć w muzyce, bezsens życiowy i logiczny w poezji i na scenie, nie-

powinny nas oburzać. Przełamanie pewnych nieistotnych narowów dotyczących życiowej strony dzieł sztuki, roz-
twiera według nas zupełnie nowe horyzonty formalnych
możliwości, związanych przeważnie z kwestją kompozycji. Pewna fantastyczność psychologii i działań, w przeci-
wieństwie do fantastyczności zewnętrznej: smoków,
czarownic i t. p. stworów, odpowiadająca deformowaniu
świata zewnętrznego, jest tem, co może dać nowe mo-
żliwości formalne w teatrze. Oczywiście dążenia tego
rodzaju muszą być istotne, t. zn. nieprogramowe. Pro-
gramowe wykrzykiwanie kształtów normalnych, progra-
mowy bezsens w poezji, czy w teatrze, jest zjawiskiem
niezmiernie smutnem. Deformacja dla deformacji, bez-
sens dla bezsensu, nieusprawiedliwiony w wymiarach
czysto formalnych, jest czemś godnem najsroźszego po-
tępienia. Czy pewne dewjacje od utartego szablonu
w sztukach niniejszych usprawiedliwiają się w ten spo-
sób, jest kwestją eksperymentu. Teoretycznie jest to
możliwe i przypuszczamy, że jeśli nie te sztuki, to inne,
innych autorów może, udowodnią kiedyś słuszność tych
twierdzeń.

Oczywiście dla jednych może się to wydać śmie-
sznem, innych może oburzyć. O ile ktokolwiek zabawi
się przy tem szczerze, w zupełnie nieistotny według
nas sposób, będziemy się tylko cieszyć ze względu na
rzadkość śmiechu w naszych ponurych czasach. O ile
ktoś się oburzy w głębi duszy bez zbyt silnych mani-
festacji zewnętrznych — trudno — wszystkich zado-

wolnić jest absolutną niemożliwością. Coraz mniej jednak jest ludzi, którzy pękają ze śmiechu na widok kwadratowych łydek Picassa, lub zatykają z oburzeniem uszy, słuchając baletu Strawińskiego. Przypuszczamy w zasadzie, nieprzesądając bynajmniej wartości formalnej sztuk niniejszych, że do czysto zewnętrznej, z życiowego punktu widzenia może groteskowej i potwornawej „treści“, można się przy dobrej woli zupełnie dobrze przystosować.

Jeszcze jedno: oprócz kwestji erotycznych, treścią sztuk są: pewne fantazje na temat przewrotu w matematyce i fizyce w „Tumorze Mózgowiczu“, na temat psychjatrii w „Pentemychos“. Przeżycia bandy zdegenerowanych byłych ludzi, na tle mechanizującego się życia, stanowi treść „Macieja Korbowy“. Filozoficzne dywagacje i problemy związane z absolutnem nienasyceniem życiowem są wplatane w „Multiflakopulu“, w „Pragmatystach“, drukowanych, niestety bez korekty, w 3-cim zeszycie „Zdroju“ z r. 1920, w „Nowem Wyzwoleniu“, w „Bziku Tropikalnym“ (napisanym na współkę z panią Eugenją Borkowską), dalej w sztukach p. t. „ONI“, „Miętosza, czyli w sidłach BEZTROSKI“, „Filozofowie i Cierpiętnicy, czyli Ladaczyni z Ekbatany“, „W małym dworku“, „Niepodległość trójkątów“, „Straszliwy Wychowawca“ i „Metafizyka dwugłowego ciełcia“.

Fantazjami na temat matematyki i psychjatrii niechcielibyśmy obrazić ani jednych, ani drugich uczonych,

podobnie jak poglądami na t. zw. „miłość“, kwestje społeczne i nadnaturalne zjawiska, niechcielibyśmy obrazić erotomanów, społeczników i spirytystów. Są to tylko preteksty dla pewnych kombinacji formalnych. Używając terminu analogicznego do pojęcia „napięcia kierunkowego“, wprowadzonego przez nas do teorii malarstwa, chodzi o nadanie pewnym masom wypadków w czasie pewnego „napięcia dynamicznego“. To jest znaczenie formalne t. zw. „treści“ poematów i sztuk teatralnych. Zaznaczamy, że „poglądom“ wypowiedzianym przez osobistości w sztukach tych, nie przypisujemy żadnego obiektywnego znaczenia.

PRZEDMOWA.

Nie zaszkodzi, ale też nie wiele pomoże, parę słów przedmowy. Tumor Mózgowicz powstał, jak to z samej nazwy dramatu w sposób oczywisty wynika, z tumoru na mózgu. Pierwsza lepsza patologia mózgu, lub rozmowa z uczciwym lekarzem, da o kwestji tumorów należyte wyjaśnienia. Nazwiska pochodzą z fantazji, z życia i z dzieł innych autorów. Fantazje na temat współczesnego przewrotu w fizyce i matematyce nie powinny obrażać uczonych, są one tylko pretekstem dla pewnych „napięć dynamicznych“. Co do literatury użytej przy pisaniu, można z czystym sumieniem wyliczyć dzieła następujące:

3 pomarańczowe popularne dzieła H. Poincaré'go.

ALLGEMEINE THEORIE DER UNENDLICHEN MENGEN. Arthura Schoenfliessa.

ZASADA SPRZECZNOŚCI W ŚWIETLE NOWSZYCH BADAŃ BERTRANDA RUSSELA. Dra Leona Chwistka.

JULJUSZ CEZAR. Wiliama Shakespeare'a.

ALLMAYER'S FOLLY. Joseph'a Conrad'a.

NIETOTA. Tadeusza Micińskiego.

W MROKU GWIAZD, tegoż autora.

Własne dzieła pośmiertne treści filozoficznej i własne eksploracje (już nie dzieła) w tropikalnych i subtropikalnych okolicach.

Bliższe wyjaśnienia teoretyczne co do istoty sztuki teatralnej wogóle patrz : (uważnie) „Wstęp do teorii Czystej Formy w teatrze“ przez samego autora w „Skamandrze“.

23 lutego 1920 r.

S. I. W.

PROLOG.

Żywych jaszczurów napiętnowane mordy
Gęgają w rudą przestrzeń bezimiennej planety.
Pokarbowane w mękę nad-istnień,
Poząbkowane w niemowlęce fałdki,
Pofałdowane w starcze uzębienia,
Żywych morderców żałobne sztylety,
Obrzmiałych serc pożądaniem gnane,
Dobiegają do tamtej mety:
Do węzłowego punktu hyperbolicznej komety.
W starczych uzębień klawikordy
Pcham słowa zmiażdżone, rozkwaszone żarem.
Padło potwora, utłuczone na rozstaju,
Wyżera pępek sobie i małym ptaszkom świdruje otwory
w tęczowych skrzydełkach.
Znam to dobrze.
I tak dobrze jest.
Widma na przełęczach świata gest
Uśmierza mękę zidjocalnych tłumów.
Młodziutkie wabią się wieszczce,
Wśród krzewów pachnących i cienistych tumów.
Ona, (kto?) woła za ścianą: jeszcze!!

Na bezpowrotnej, śmiertelnej lubieży,
Tłukąc ciało o kości, z wywróconą wstecz szczęką,
Zęby płomienne z poza węglów szczerzy
I dłubiąc pelikana dzióbkiem,
W jaskini, którą opanowały ich cienie,
Tych tłumów cienie, spatroszonych nad-bydłącą męką,
Rozpiera wodną otchłań fajansowym kućkiem.
Ja wiem, że kłamię i że nad śmiech, konstrukcja prawdy
tylko wyższa,
Babilonową, skręconą wieżą wżera się w ciemności.
Babel, Jezabel i angielska Mabel,
Co czyta Biblię na mdłym podwieczorku,
Gdy naszej gwiazdy grzmiąca fotosfera
Parska wybuchem płonącego gazu.
Wodór się pali i Helium powiewa,
Oświeśla przestrzeń pośredniego mroku.
Wieczór i świt przemierza starzec bez brody
I na przełęczy ostatecznych pojęć
Manometr świata na Nicość nastawia.
Być nim, czy też pozostać sobą,
W meta-bydłęcym, rokokowym stroju
I gzić się dalej na gwarnych pastwiskach.
Oto problemat godny kłamstw Cezara.
Zużyte zęby miamlą jeszcze pokarm
Przeżuty dawno przez podwójny worek,
Którym się szczyci dumna Pazifaë.
Elektron niańczy w magnetycznym polu
Ślepy wzrok widma wstrzymany w swej drodze.

Względność przestrzeni wszystkie linje zgina,
A ślepiec liże bezbarwne przedmioty.
Duch, jak łza czysty, bezjakościowym rzyga wciąż
fluidem...

Ludzkość, bóstw dawnych obmierzła maszyna,
Nad dawnym Tybrem spiętrza żądz wymioty,

W tygrysie fałdy, w pylniki kąkolu.

(Marabut stoi gdzieś na jednej nodze).

Zużyte wszystko, słów miazga nie cieknie

I nie spowija grozy dawnych djabłów.

Oni się korzą przed wyplutą pestką,

Tybałd się boi Kainów i Ablów.

W uściskach stonóg zakłęta pantera,

Jej centki świecą, różowe i dumne.

Przez trawę pełźnie cudowna hetera,

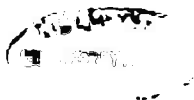
Miażdżąc swym brzuchem słowa zbyt rozumne.

Uchyl zasłony, bo na scenę wchodzi,

Z tumorem w mózgu, sam Tumor Mózgowicz.

Co nas to wszystko właściwie obchodzi?

Zmacerowany — cepem — spacerowicz.



OSOBY :

TUMOR MÓZGOWICZ, matematyk bardzo sławny, niskiego pochodzenia. Lat 40.

ROZHULANTYNA Bazylówna, z książąt Baar - Łukowiczów Zakspijskich. Primo voto: Romanowa hrabina Krzeczberska, secundo voto: Tumorowa Mózgowiczowa. Lat 36.

ON: olbrzym zbudowany jak tur. Bawole czoło, ze spadającą blond grzywą zmierzwionych włosów. Wspaniale ubrany. W klapie czerwona wstążeczka. Przez gors widać lentę zieloną jakiegoś wschodniego orderu. Garnitur szary, z najlepszego kortu i żółte pół-buciki. Oczy niebieskie, jasne. Krótko przystrzyżony, płowy wąs. Zresztą ogolony.

ONA: wspaniale rozwinięta bruneta z meszkiem. Czarne płomieniste oczy. Trochę wschodnia. Wściekle rasowa i ponętna.

BALANTYNA FERMOR, panna. (Right Honorable Miss Fermor). Córka Henryka Fermor, VI-tego Earla of Ballantrae. Lat 32. Piękna, majestatyczna blondynka; zdrowa, rasowa i bardzo ponętna.

PROFESOR ALFRED GREEN z M. C. G. O. (Em. Si. Dzi. Eu. Mathematical Central and General Office.). Blondyn w binoklach. Typ bardzo angielski. Lat 42. Wygolony zupełnie.

JÓZEF MÓZGOWICZ, chytry chłop, lat 75. Czerstwy jak rzepa. Nic nie podobny do Tumora. (Tumor jest podobny do matki). Sukmana, długie lakierowane buty. Brunet siwawy. Orli nos.

IBISSA (Izia) hrabianka KRZECZBORSKA, córka Rozhulantyny i Romana Krzeczberskiego. Lat 18. Ruda, oczy niebieskie. Bardzo rasowa i wściekle wprost ponętna, demoniczna dziewczynka. Podobna jak dwie krople wody do ojca.

ALFRED MÓZGOWICZ, lat 16. Syn pierworodny Tumora z 3-go małżeństwa jego z Rozhulantyną. Wykapany ojciec. Ubrany w kostjum sportowy, szaro-różowy.

MAURYCY MÓZGOWICZ, lat 14. Następny numer w kolekcji młodych Mózgowiczów. Bardzo podobny do matki. Ubrany w kostjum sportowy szaro-bury. Kołnierz wykładany. Malinowy krawat La Valière.

IRENA MÓZGOWICZÓWNA, lat 23. Córka Tumora z 2-go małżeństwa. Nie ładna, bardzo inteligentna brunetka, o trochę semickim typie.

LORD ARTHUR PERSVILLE, 4-ty syn księcia Osmond (przyszły Duke of Osmond, Marquis of Broken Hill, Viscount of Durisdeer, Master of Takoomba-Falls) największy demon z Central and General Mathematical Office i największy z bezkarnych zbrodniarzy: tak zwany „King of Hells“, król piekieł i szuflerni — (Amfibologia liczby mnogiej od Hell). Lat 33. Najtęższy geometra na kuli ziemskiej. Uczeń Hilberta. Król mody. Ubrany w kostjum żakietowy i cylinder, laska w ręku. Twarz młodzieńcza niezwyklej piękności. Ogolony, oczy czarne. Silny brunet, coś między prawdziwym lordem, a typem z karnych kolonji. Ruchy wytworne. Oczy nigdy się nie śmieją, podczas gdy prześlicznie zarysowane, pełne usta, osadzone w delikatnych, lecz potwornej siły szczękach, mają uśmiech trzyletniej dziewczynki. Pozatem jest to człowiek, (o ile człowiekiem nazwać go można) wzbudzający najpiekniejszą zazdrość i zawiść na całym globie.

KSIAŻĘ TENGAH. Malaj bardzo piękny, syn Radźdży Timoru, Patakula. Lat 23. Błękitny turban, czerwony sarong. Kriss u boku.

STARY RADŹDŹA PATAKUŁO. Stary Malaj z siwą brodą, lat 60. Przepaska na biodrach.

KAPITAN FITZ-GERALD. Wygolony wilk morski. Komendant krążownika „Prince Arthur“.

MALAJE ZE STRAŻY. Ubrani jak Tengah, z lancami.

DWAJ INNI, w czerwonych turbanach z lancami.

TŁUM MALAJÓW.

2 BIAŁYCH LUDZI w kakowych ubraniach i hełmach.

6 LUDZI z załogi krążownika. Ubrani biało, po marynarsku.

2 AGENCI GREENA — bezosobowe istoty.

4 TRAGARZY w niebieskich fartuchach. Zupełnie bezosobowe postacie z brodami.

IZYDOR MÓZGOWICZ — w pieluchach.

AKT I.

SCENA I.

Pokój dziecinny na piętrze w domu Rozhulantyny. Tumor Mózgowicz siedzi sam w fotelu. Na dywanie mnóstwo zabawek dziecinnych. Olbrzymia butla benzyny stoi w rogu na prawo. Urządzenie pokoju jest szczytem nowoczesnej higieny. Wszystko białe jak śnieg. Słońce wpada przez duże okna na lewo i na prawo. Jasno jest i ciepło. W głębi czarna tablica do zadań. Na lewo od niej drzwi, wprost widowni. Drugie drzwi na lewo.

MÓZGOWICZ

Rypię całą parą. Bary biorą się z sobą za bary, wrastają w siebie i w pryskach ognia strząsają pyłki w zaświatowej burzy. Przeklęta kultura! (*Wali pięścią w poręcz*). Kto każe mi udawać? Czytałem wczoraj cały ich nowy program. Poprostu rzygać się chce. Vomito negro.

Wchodzi Izia. Czarna, krótka sukienka. Ażurowe pończochy. Pantofelki z czerwonymi pomponami).

IZIA

Mama pyta, czy panu czego nie potrzeba.

MÓZGOWICZ

Trzeba mi byka, rydwanu, bezbrzeżnych pól i twoich niebieskich oczu, Iziu. Powiedz Mamie, że jest jak Pazifaë. — Zzielenieje z zazdrości. A tak okropnie jest skomplikowana, że chyba pękne w tym całym wirze, który wytwarzacie.

IZIA

Niech pan się uspokoi. Ja wiem wiele — o wiele więcej niż mama i pan nawet.

(Wychodzi).

(Mózgowicz wstaje i nakręca zegarek).

MÓZGOWICZ

Przekłeta kultura. Niema we mnie ani krzty artysty, ani tyle! *(Pokazuje to na palcu)*. A jednak wmawiają mi to wszyscy: ach, co za talent! ach, co za geniusz! Gdyby choć ona jedna mogła tego nie myśleć. Wszystkie moje dzieci są tak podobne do mnie, że to mnie wprost przeraża, że nie znalazła się kobieta, któraby miała siłę zdradzić mnie.

(Wchodzi ojciec Mózgowicza w sukmanie i w długich butach).

JÓZEF MÓZGOWICZ

(Stary, ale rzeźwy jeszcze chłop. Barczysty jak syn. Mówi z chłopskim biadkaniem).

Jesteś niezwykciony, syneczku.

MÓZGOWICZ

Papa zawsze pełen jest konceptów. Taki stary, a taki głupi.

(deklamuje)

Dnem mojej duszy
Jest pierwotna mściwość,
A moim herbem
Jest soczysta larwa.
Zdębiałych koni lawiny
I oficerów zasmucone miny,
Nad losem dawno, dawno zagasłych kurtyzan.

(mówi)

Oprócz tego, że jestem sobą, mógłbym być: kelnerem,
oficerem, albo kurtyzaną. Gdybym był kobietą, straszliwą
byłbym rozpustnicą.

JÓZEF MÓZGOWICZ

Jakiż przepiękny jesteś syneczku. *(Podnosi z ziemi lalkę
i całuje ją)*. Taka była moja małeńka, kiedy umarła.

Taka była twoja siostrzyczka, Anzelma.

MÓZGOWICZ

(deklamuje)

Robaki wkręcają się w oczy
W ciemnej, rozmięklej przeźroczy.
Jak nożem ostrym
Chciałbym przeciąć sobą,
Zazdrosną o szybkość, przestrzeń.
Ważę ciężary, o jakich nie myślał
Żaden Cezar świata,

A wszystko ulata, jak wata.
I lekkie mi jest wszystko, jak pajęczy puszek,
Jak jakiś mały, niepozorny duszek,
Z innej planety zaduszek.
Napudrowałem twarz moją wielkością
I kukła jestem ohydna.
Takiego wstrętu do siebie, jak ja,
Nie miał nikt, od światów początku.

JÓZEF MÓZGOWICZ

(staniając się)

Ach, jakież śliczny jesteś syneczku!
Chodź, pójdziemy do karczmy.

MÓZGOWICZ

(z rozpaczą)

Ach! Idź ojciec sam. Dziś jeszcze mam napisać statut
nowej Akademji Nauk. A tu jeszcze przystali mi tylko
co korektę pracy o funkcjach nadskończonych. Ale
ojciec to nawet algebry nie zna. Rzucaj groch o ścianę.

(Daje ojcu papier, który wyciągnął z kieszeni).

JÓZEF MÓZGOWICZ

(wkłada okrągłe okulary i czyta)

„Über transfinite Funktionen im Alef – dimensionalen *)
Raume“, Professor Tumor von Mózgowicz. *(mówi)* O, jakże
mądrym jesteś syneczku! I tylko za to tak cię uszlach-

*) Alef: pierwsza liczba ponad-skończona Cantora.

cili! (*Z zatem*) Miałem sen. Widziałem ciebie jako bóstwo w jakiejś świątyni wschodniej. Nie poznałeś mnie i śmiałeś się z czegoś niewiadomego. A mnie wyrzucił stróż, taki mały, stary i słaby, jak mucha.

A twarz miał taką, jak nasz Burek, tylko ludzką.

MÓZGOWICZ

(chowając korektę do kieszeni)

Na nic nigdy nie miałem czasu, nawet na miłość. Lecz czemuż jest miłość dla mnie? Dzieci moje rosną. Syn niedługo zda maturę, córka już wcale nie źle całkuje równania różniczkowe, a ja nie mogę nawet odpocząć. Gdybym choć był religijnym. „Aber mir, keine Marter ist erspart“, jak mówił Franz Josef.

JÓZEF MÓZGOWICZ

(kiwa głową i zabiera się do wyjścia)

(We drzwiach spotyka się z Rozhulantyną, ubraną w jasno-zielony butachon).

ROZHULANTYNA

Mówiłam wam Józefie, żebyście się szanowali. A on znowu chodzi!

JÓZEF MÓZGOWICZ

E — niechże już ta ostatnia para wyjdzie ze mnie w ludzkim towarzystwie. A jaśnie pani zdrowa?

ROZHULANTYNA

Jak byk parowy (*śmieje się*).

(Józef wychodzi).

(Rozhulantyna smutnieje gwałtownie i zbliża się do Mózgowicza).

Co ci jest? Tumor! Ty mnie nie kochasz?

MÓZGOWICZ

(podnosi lalkę i ogląda ją)

Wiesz przecież wszystko. Jestem cham, ostatnie bydlę. Pamiętam i nie mogę zapomnieć. Rozwaliłem ci cały kredens i musiałaś się wstydzić za mnie przed nimi.

Ale nie upić się nie mogłem.

ROZHULANTYNA

Nie myśl o tem. Już wszystko naprawione. Chciałabym móżd co miesiąc rodzić, żeby takich, jak ty, było więcej. Jakąś wyspę na Oceanie Spokojnym chciałabym mieć i żebyś ty tam był i tylko nasze dzieci. Wszystko takie chłopcy morowe jak ty, wszystko matematyki jeden w drugiego. W środku byłaby Akademia i ty jeden, pan wszystkich słońc, król liczb, książę Nieskończoności, Szach świata absolutnych idei, rozparty w całym wszechświecie, jak w fotelu, siedziałbyś potężny jak...

MÓZGOWICZ

Przestań — dławię się moją potęgą, jak pigułką zbyt wielką dla paszczy wieloryba.

ROZHULANTYNA

Nie kochasz mnie? Chcesz, żeby Izidor przyszedł na świat z krzywymi nogami i z oczami na skroniach?

MÓZGOWICZ

(gwałtownie obejmując ją)

Nie, nie! Nie mów tak. Kocham cię, strasznie cię kocham *(nagle flaczęje)*. Tylko nie mogę zapomnieć, że jesteś księżniczką. Jest w tem coś absolutnego. Dość spojrzeć na twoją nogę *(Rozhulantyna ogląda nogi, poczem patrzy na niego badawczo)*. Gdyby ojciec twój, książ Bazyli, mógł cię widzieć w objęciach takiego chama, umarłby ze wstydu poraz drugi. Mówię ci: jest w tem coś absolutnego, w całej kwestji rasy. Cóż mi pomoże cała wiedza? *(Ciska korektę o ścianę)*. Nie mogę się urodzić poraz drugi.

ROZHULANTYNA

(obejmując go)

Mój jedyny, mój Tumorku najukochańszy — że też ty tego nie rozumiesz. Właśnie w tem jest wszystko, cały urok piekielny. Dlatego opuściłam Krzeczbońskiego. Nie cierpię tych demi-aristos. Przekłete snoby. Jesteś potwornym chamem i jak czuję moją krew, piekielnego zaiste błękitu, jak łączy się z twoją, purpurową, chamską juchą, jak tworzymy razem tę rasę fioletowych pół-bogów, jak myślę o tem, to chce mi się rozprysnąć ze szczęścia w jakąś magmę nie z tego świata.

*(Twarz Mózgowicza rozjaśnia się w dzikim tryumfie
Wchodzi Alfred Mózgowicz).*

Patrz! Oto on, mój fetysz. Fred — chodź, niech cię uściskam.

MÓZGOWICZ

(do Alfreda)

Czy rozwiązałeś zadania?

ALFRED

(całując matkę, mówi cichym głosem)

Tak jest, papusiu. Utrudniłem sobie problemat metodą Whiteheada. Ten potworny starzec umie z najprostszego zagadnienia uczynić coś dowolnie trudnego.

MÓZGOWICZ

Szanuj tego mędrca. Pamiętaj, że byłem jego uczniem.

ROZHULANTYNA

(patrząc na nich z zachwytem)

Ja chyba nie przeżyję tego szczęścia. Och czemuż, czemuż nie mogę być króliczycą!

MÓZGOWICZ

(ponuro)

Pamiętaj o białej króliczycy, która do śmierci rodziła moręgowate koty. Raz jeden tylko zdradziła swego białego męża. Alfred zanadto mi przypomina Krzecz-borskiego.

ROZHULANTYNA

(śmieje się, gładząc Mózgowicza po głowie)

Biedna mózgownica! Liczby wyjadły ci całą szarą materję, Tumorze!

MÓZGOWICZ

(ryczy)

Proszę nie żartować z mego nazwiska! Jest dosyć znane
na całym świecie *(tupie nogami i przewraca oczami
w dzikim szale)*.

*(Alfred podchodzi do tablicy i zaczyna pisać na niej
kredą. Widać olbrzymie całki i zawile symbole)*.

*(Rozhulantyna klęka i zaczyna budować coś z klocków.
Mózgowicz stoi na miejscu. Uspakaja się i zamyśla się
głęboko)*.

(Wbiega Izia i młodszy Mózgowicz: Maurycy).

MAURYCY

(arystokratycznie wymawiając wyrazy i silnie grasejując)

Bo papuś, to pisze wiersze tylko dla równowagi ducha,
jak mu liczby już wszystkimi porami przenikają do duszy.
Izia jest poetką naprawdę. Wydrukowali jej wierszyk
w naszej dziecinnej futurystycznej gazecie. Izium, zadeklamuj.

IZIA

(deklamuje)

Był mały zarodek w cienistej oddali,
Ktoś trącił przypadkiem, ktoś spojrział ukradkiem
I śliczna wyszła dziecina.

Najprzód ochrzcili, potem nazwali
nazwali ją Ylajali.

Był mały koteczek, zielony kłębeczek
Zjadł na śniadanie w oddali.

Ktoś trącił ukradkiem, ktoś spojrzął przypadkiem
Potem okropnie płakali.
W dziecinnej książeczce, w dziewczęcej teczce
powstała nowa rycina.
W cienie oddali ktoś ujrzał przypadkiem,
Jak kotka pożała Ylajali.
Czy to się śniło, czy też tak było,
Naprawdę by zgadywali.
Czy to rycina sama powstała
Czy sen się zbudził z rysunku,
Nie zgadłby nawet zielony kłębuszek.
Nie zgadła nawet Ylajali.

MÓZGOWICZ
(ponuro, krótko)
Za dużo sensu.

ALFRED
(odchodząc od tablicy)

To wszystko na nic. Ojciec jest zdrajca. Ojciec kocha
się w lzi. Mama o tem płacze po nocach. Ja nie chcę.

MÓZGOWICZ
(krzyczy)
Czyś ty oszalał!

MAURYCY
(wskazując na ojca)
Tak, ja wiem. To on chodzi po nocach i wyje. On jest
warjat.

(Rozhulantyna zrywa się)

ROZHULANTYNA

Tumorze!

IZIA

(klaszcze w dłonie z zachwytu i podskakuje)

Oberwała się lawina.

MÓZGOWICZ

(odchodząc od zmysłów)

Wścieknę się! Jak oni śmia!

ALFRED

Zupełnie zwykła historia. Jutro będzie w gazetach mały artykuł p. t. „Zdemaskowanie oszusta“.

ROZHULANTYNA

(wybucha nagłym śmiechem)

Rozkręca się stara mózgownica, rozkręca!

MÓZGOWICZ

(z żalem)

Tak było dobrze i tak się wszystko popsuło.

(do Izi)

To ty, arystokratyczny demonku! Zawsze mówiłem, żeby wytępić Krzeczberskich, że inaczej nie damy rady.

ROZHULANTYNA

(*do dzieci*)

Cicho! Uspokójcie się. Jeszcze czas jest wszystko odwrócić. (*Groźnie do Alfreda, hypnotyzując go*). Tego wcale nie było! Rozumiesz? (*środkowymi drzwiami wchodzi Józef z jakimś nieznany panem w binoklach*)
Zapóźno!

IZIA

Dzień dobry, Józefie. Kogóż to przywlekliście ze sobą?

JÓZEF

Ano, szukał Jaśnie Pani. Mówi, powiada, że jest gość pierwszej klasy.

NIEZNAJOMY

Jestem zaiste gościem i zdaje się, że w porę przybywam.
(*Alfred podchodzi do Nieznajomego*)

ALFRED

(*do Nieznajomego*)

Nie waż się pan wtrącać do spraw naszych prywatnych.

ROZHULANTYNA

(*niespokojnie*)

Dzieci, cicho! To jest tylko moja sprawa prywatna. Tak się boję o Izydora. Wyjdźcie wszyscy. Muszę zostać z nim sama.

MÓZGOWICZ

(ponuro)

Z kim ? z Izydorem ? *(do Izi)* Mówiłem, że za dużo jest sensu w tem wszystkim. *(Wychodzi na lewo).*
(Maurycy i Alfred chcą go zatrzymać. On im się wyrwa i ucieka).

NIEZNAJOMY

Jeszcze chwila, a będzie zapóźno. Wynałazłem ratunek ostateczny.

MAURYCY

Nie wierzę panu. My już wszystko to przeszliśmy. My się kręcimy w miejscu, aż do zupełnego zawrotu głowy.
My już nie możemy więcej.

ALFRED

Tak! To są wszystko maski dla nich, dla członków Akademji, ale z nami jest bardzo źle.

IZIA

(pada na kolana przed matką)

Oddal tego pana. Mamusiu, oddal go!

ROZHULANTYNA

(stanowczo i łagodnie)

Nie, Iziu. Teraz się musimy zdecydować. Przemawia przez ciebie zepsuta krew Krzeczberskich.

NIEZNAJOMY

(twardo) (do Rozhulantyny)

Musisz pani wybierać między nim, a córką. Cały wszechświat w Was tylko jest wpatrzony. On nie może zmieniać obowiązującej matematyki tylko dla fantazji tej dzierlatki. On może wszystko. Ja znam już ten dowód, którym on przekona nawet samego Whiteheada. Wszystko zaczęło się od Alefów: gdzie wchodzi w grę aktualna nieskończoność, tam jego wszechmoc jest zupełna. Ale dla całej kultury, w imieniu wszystkich dotychczasowych ideałów ludzkości, musimy to powstrzymać.

ALFRED

(zaczyna się orientować)

Moryc, stań w drzwiach. *(Maurycy staje w drzwiach środkowych).*

(Rozhulantyna nie wie co robić. Widać w jej ruchach i twarzy potworną walkę ze sobą).

ROZHULANTYNA

(krzyczy z nagłą decyzją)

Tumorze! Ratunku!

NIEZNAJOMY

(wyjmując kartę z pugilaesu)

To nic nie pomoże. Jestem profesor Green z Em. Si. Dzi. Eu., z Mathematical Central and General Office.
Green, Alfred Green.

(Izia jednym ruchem jest przy drzwiach. Rozhulantyna pada zemdlna, krzycząc: „Green“).

(Moryc łapie Izię, Alfred szepce coś na ucho Greenowi).

GREEN

(głośno)

Tam są moi agenci.

(Izia wyrywa się Maurycemu i rzuca się do drzwi)

(Wpada dwóch agentów, którzy łapią Izię).

(Józef cały czas pęka ze śmiechu, zanosząc się jednocześnie starczym, flegmiastym kaszlem) (teraz aż zapiał z zachwyty).

(Na to wpada z lewej strony Tumor Mózgowicz i staje iak wryty).

GREEN

(krzyczy do agentów)

Na automobil z nią i jazda na piątą szybkość.

(Agenci z szaloną szybkością okręcają głowę Izi czerwoną chustką i wybiegają, trzymając Izię na rękach, przez drzwi środkowe)

(Tumor przeskakuje przez leżącą Rozhulantynę i rzuca się do drzwi. Zastępuje mu drogę Green)

GREEN

(groźnie, ale z uszanowaniem)

Panie profesorze! Ani kroku dalej.

*(Alfred i Maurycy z dwóch stron podchodząc do ojca
czając się jak koty)*

JÓZEF

(krzyczy, szczując ich)

Pyf!!!

*(Obaj chłopcy rzucają się na ojca, starając się skre-
pować mu ręce w tył)*

*(Green rzuca się z przodu, chwytając go za gardło i stara
się zatrzymać)*

*(Nieruchoma i niema scena, jak Ursus z bykiem w Quo
Vadis Sienkiewicza)*

*(Trwa to bardzo długo). (Milczenie, przerywane sapa-
niem zmagających się).*

*(Józef decyduje się i jak drapieżny sęp bez skrzydeł,
podpełza do Mózgowicza, łapie go za nogi w kolanach
i powala na ziemię. Wszyscy w milczeniu krępują Móz-
gowicza chustkami, łańcuszkami od zegarków. Green
liną, którą miał przygotowaną).*

*(Mózgowicz ryczy krótko, poczem bezwolnie poddaje się)
(Mózgowicz leży skrepowany. Wszyscy siedzą na ziemi,
dyszcząc ciężko).*

GREEN

(spokojnie)

Spełniłem mój obowiązek.

JÓZEF
(z *politowaniem*)

Widzisz syneczku, na co ci przyszło. A mówiłem zawsze:
nie przeciągaj nitki, bo pęknie.

ALFRED
(*wstając*)

Nie była to nitka, lecz gumka.

MAURYCY
(b. *arystokratycznie*)

Mam wrażenie, że papusiowi nieskończoność paruje ze
wszystkich włosów. (*zbliża się do matki*)
(*Rozhulantyna budzi się z omdlenia*)

ROZHULANTYNA
To jest sen jakiś okropny.
(*Green wstaje i patrzy na zegarek*)

MÓZGOWICZ
(*leżąc bez ruchu*)

Któż zwycięży moją myśl ostatnią? Jestem niezwy-
czony. Możecie mnie uwieźć. Będę milczał, tylko zostawcie
mi papier i ołówek. Ostatni poemat musi być skończony.

ROZHULANTYNA
(*do Greena*)
Gdzie Izia? (*wstaje, otrzepując się*)

GREEN

Sacred Blue, jak mówią Francuzi. Gdybym sam to wiedział.
Stało się to tak szybko, że nie zdążyłem wydać im
rozkazów.

ROZHULANTYNA

(nagle wesoło jakby wszystko jej się w głowie rozjaśniło)
A może to jest jedynym rozwiązaniem! Może tak właśnie
trzeba.

MÓZGOWICZ

(obojętnie)

A może? Któż to może wiedzieć?
*(Wchodzi Balantyna Fermor, ubrana w kostjum do gry
w golfa).*
(Rozhulantyna rzuca się na jej spotkanie)

ROZHULANTYNA

Szczęście, żeś przyszła. Czy widzisz co za katastrofa?
Aż mi się śmiać chce z tego, tak jest to dzikie jakieś
i nieprawdopodobne.

MÓZGOWICZ

(dekluuje)

(Wszyscy słuchają skamieniali).
Nad zrębem planety,
Pośród gwiazdnej nocy,
Szereg alefów w nieskończoność pełnie.
I nieskończoność, unieskończoniona

Zamiera w sobie, przez siebie zdradzona.
Kłęby Tytanów i rogate widma
Sypią gwiazd roje
W wydarte otchłanie.
Myśl w własne wąpła zapuściła szpony
I gryzie siebie w swej własnej otchłani
Lecz myśl ta czyja? Samo się nie myśli
Tak jak grzmi samo i samo się błyska.
Punkt się rozprężył w n—wymiarów przestrzeń
I przestrzeń klapła
Jak przekłuty balon.
Dech wyszedł cały. Tak nicość dyszy
Sama własną pustką
I każde coś gnębi w czasie, który stanął.
Hop! Szklankę piwa!

GREEN

Zaraz profesorze. Dobrze, że nie słyszą tych wierszy
w Em. Si. Dzi. Eu.
Wyobrażam sobie, jakiego miny porobili.

MÓZGOWICZ

Pure nonsense, my dear Alfred. Czy nareszcie dostanę
piwa?
Co za szkoda, że Izia nie usłyszała tego wiersza.
(do Maurycego)
Czy i teraz, idjoto, nie uważasz mnie za poetę?

ALFRED

(do Maurycego)

Nie mów nic do papusia.

BALANTYNA

(do Greena)

Sprowadź więcej ludzi, profesorze. Trzeba go zawieść
zaraz do więzienia.

(Green wychodzi)

A wy, dzieci, idźcie się przejść. Dzień jest cudowny.
Taka wiosna w powietrzu. Puszki zielenią się na drzew-
kach. Widziałam nawet dwa motyle, cytrynki, które
zbudzone ciepłem opuściły swe larwy i robiły łamane
kółka w przesyconem zapachami powietrzu. Nie wiedzą
nieszczęśliwe, że kwiatów jeszcze niema i że czeka je
śmierć głodowa.

*(Twarze chłopców się rozjaśniają. Rozhulantyna całuje
ich w głowy).*

ROZHULANTYNA

Tak idźcie przejść się. Masz rację Balantynko. Ty i ja
jesteśmy, jak te cytrynki o których mówiłaś.

MÓZGOWICZ

(ironicznie)

A ja jestem ten kwiat, co się nie rozwinął jeszcze. Ale
rozwinę się jeszcze. Nie bójcie się.

(Chłopcy wychodzą)

JÓZEF

A to ja, proszę łaski jaśnie pani, ich odprowadzę.

ROZHULANTYNA

Tak, dobrze. Idźcie Józefie, a potem przyjdźcie do nas na obiad. Będzie wasza ulubiona kasza.

(Józef wychodzi, nisko się kłaniając).

(Wchodzi Green z czterema tragarzami w błękitnych bluzach, którzy biorą Mózgowicza i wychodzą. Green wychodzi za nimi).

(Rozhulantyna rzuca się do Balantyny Fermor z nagłym niepokojem)

ROZHULANTYNA

(błagalnie)

Powiedz mi co to znaczy? Zaklinam cię, nie męcz mnie już dłużej. Na wszystko cię proszę, powiedz mi.

BALANTYNA

(uspakajająco)

Prostu znarowiliście się do pewnych pojęć. Izia ma z was najwięcej prawdziwej intuicji przyszłości.

ROZHULANTYNA

(z rozpaczą)

Biedna, biedna Izia! *(wpatruje się z bólem przed siebie).*

Kurtyna.

KONIEC AKTU I.

AKT II.

Rzecz dzieje się na wyspie Timor (Archipelag sundzki). Brzeg morza. W oddali czerwona skała wyspy Amak Ganong. Na lewo plamy i krzewy, pokryte olbrzymimi purpurowymi kwiatami. Na prawo palisada ze strzelnicami i wejście do malajskiego kampongu. Godzina $1\frac{1}{2}$ 6 rano. Czarna noc. Wschodzi Canopus. Księżyc sierp. jak łódka, końcami do góry zwrócony, ledwie świeci. U wrót palisady dwóch Malajów w czerwonych sarongach i błękitnych turbalach, z lancami. Stoją nieruchomo na straży. Na środku sceny dwa leżaki cejlońskie, (Colombo Style) nogami ku widowni. Z kampongu wychodzi Tumor Mózgowicz w białym tropikalnym kostjumie, niosąc prawie na rękę omdlewającą Izię Krzeczberską, również biało ubraną. Malaje prosternują się przed nimi, potem wstają.

MÓZGOWICZ

Tak, więc to bydlę Green zakochał się w tobie. Oni tak zawsze w Em, Si, Dzi, Eu. Rano abstrakcja i czysta wielość, jako taka. Od obiadu, gdy już łykną swoje whisky and soda, to mają czas do rana popęłnić najdziwsze rzeczy. Jakże nienawidzę Europy. Ja, cham, bydlę zupełnie pierwotne, nie mogę znieść już tej mdłej demokracji.

IZIA

Kocham pana. Jesteś teraz księciem prawdziwym, jak z bajki.

*(Mózgowicz kładzie ją na ceylońskim leżaku, sam roz-
wala się na drugim, który trzeszczy pod jego ciężarem,
Nogi zarzuca na poręczę).*

MÓZGOWICZ

Wszystko to jest komedia. Nie mam nic poczucia rzeczywistości, bo nie mam tego we krwi. Udawać władcę tych bydła! Ten Anak Agong, Syn Nieba, którego pokonałem, ten był władcą naprawdę! A! Marmeladę z niego zrobię! Pekeflejsz! To bydłę lepiej jest urodzone odemnie. Jego praszczur siedzi na wulkanie, patrz Iziu, o tam, gdzie wznosi się Gunung Malapa.

*(Wskazuje na widownię. Czerwony blask na chwilę zalewa scenę od strony widowni i słychać huk daleki.
Gunung Malapa wybucha).*

IZIA

Ty sam wyszedłeś z tego wulkanu. Tajemnica jest niedocieczona. Chciałabym dziś bić Malajów różgami z rattanu. Chciałabym, abyś ty bił mnie, jak prawdziwy władca. A jednocześnie chciałabym cię trzymać w klatce, karmić surowem mięsem i używać tylko tak, jak się używa różnych domowych bydlatek. Zostawiać cię na chwilę najwyższej, bestjalskiej, okrutnej rozkoszy.

(Mózgowicz podrzuca się z wściekłością na leżaku, zgrzyta zębami i porykuje).

MÓZGOWICZ

Milcz! Sam demon nieskończoności rozrywa mój stalowy czerep. Nie prowokuj mnie do czegoś strasznego. Nie mogę się tobą nasycić. Jesteś wątła, jak kalbion i nikła, jak pajęczynka, a męczysz mnie potwornie. Pamiętaj, że mam teraz władzę większą, niż wszystkie Green'y.

IZIA

Lubię, jak budzi się w panu hipopotam. Kto lepiej jest urodzony: pan, czy pierwszy lepszy hippo?

MÓZGOWICZ

(tarza się po leżaku i ryczy)

A! Niech tylko Green dostanie się w moje ręce. Już ja go urządzę: po malajsku, na zimno.

IZIA

Nie potrafi pan. Na to trzeba mieć rasę. Nie zdoła go pan nawet pomęczyć, panie profesorze. Uniesie pana zaraz zwykła, szewska pasja, ta, którą tak kocham, której się tak boję i którą tak pogardzam. I to daje mi tę niezwykłą rozkosz ujarzmiania siebie, ciebie i całego świata. Chciałabym być jeszcze mniejszą: być moskitem i pić twoją krew przez cieniutką rurkę, należącą do mego ciała, a ty żebyś ryczał z wściekłości.

MÓZGOWICZ

(wstaje z leżaka i z zaciśniętymi pięściami zbliża się do Izi)

O! Gdybym mógł cię najprzód zróżniczkować, zba-
dać każdą nieskończoność twojej przeklętej, rudej
krwi, każdy element twojej pachnącej żarem białości,
a potem wziąć, stłamsić, zcałkować i nareszcie pojąć,
czem jest ta piekielna siła nieuchwytności, która mnie
spala, aż do ostatniego włókna mojego chamskiego
mięsa.

IZIA

Pamiętaj, że gdybym nie uwiodła Greena,gniłbyś te-
raz w więzieniu.

MÓZGOWICZ

*(nadmudzim wysiłkiem opanowuje się i siada na leżaku
profilem do widowni, zwrócony twarzą do Izi. Mówi
spokojnie, syczącym głosem).*

Co było między wami? Jak mogłaś jemu oddać to,
co było tylko moją własnością.

IZIA

Własność!! I to mówi wielki Mózgowicz, Tumor I-szy,
Anak Agong, władca Tinoru i adoptowany syn zie-
jącej ogniem góry. Ordynarna scena zazdrości!

(Mózgowicz ryczy i bije się pięściami po kolanach).

Stary jesteś. Nudny profesor. Co mnie obchodzą wa-

sze głupie Alefy. Twoja własność! Jak ty śmiesz? Żebyś choć był poetą. Darowałabym ci połowę twojej dzikiej siły. To co Moryś nawet potrafi jednym słowem, ty musisz na to zużyć całe góry zwykłej, bydlęcej energii. Własnością czyjaś jest to, co się samemu bierze i trzyma, a nie ochłapy przypadkiem wydarte z Mathematical Office. Moja nieskończoność nie jest symbolem. Jestem jak prawdziwa Astarte. Gdybym przyszła na świat wcześniej, byłabym królową naprawdę, a nie komedjantką na jakiejś głupiej wyspie. To tyś mnie oddał Greenowi. Ten matematyczny przyrząd był pierwszym moim kochankiem; nie mogę bowiem uważać za kochanków twoich sześciu synów. Postąpiłeś jak Alfons! Szkoda, że Izydora, o którym tyle się teraz u was mówi, nie mogłam mieć w swojej kolekcji.

(Mózgowicz wstaje i krzyczy na Malajów).

(Robi się świt gwałtowny, czerwone chmury przeciągają po niebie. W rannym powiewie palmy chwieją się. W oddali wybucha wulkan. Krwawe błyski oświetlają kraj-obraz i słyszać huk stłumiony. Malaje podbiegają z nastawionymi lancami. Izia leży nieruchomo z zamkniętymi oczami).

MÓZGOWICZ

(ryczy)

Bierzcie ją! Kłóćcie! Kaffiry, psie syny!

(Malaje zamierzają się, czekając komendy ostatecznej)
(Mózgowicz wpatrzony w Izję zastygł w nieruchomym

zachwycie. Jasny blask stońca zalewa nagle scenę i słychać wrzask tysięcy papug). (Mózgowicz pada na kolana przed Izią, która przeciąga się rozkosznie na leżaku, rozchylając usta. Powoli podnosi się, patrząc jasnemi oczami w słoneczne przestrzenie nieba. Malaje padają na kolana).

IZIA

Gdybyś uwierzył sam w siebie. Gdyby ci przeklęty, twój mózg, co ci rozpiera twój bawoli łeb, nie przeszkodził uwierzyć, że jesteś naprawdę synem ognistej góry, gdybyś był choć trochę poetą, byłabym twoją na zawsze. Teraz nie wiem. Kto wynalazł to potworne słowo: metafizyczny pępek? Ach, tak, to Alfred, twój pierwotny metys, błękitno-bury. To jest wyrazem wszystkiego. Zabiliście prawdziwą piękność życia, a śmierci nie uczyniliście mniej ohydnej. Możesz mnie nawet zabić. Wolę lance tych bydląt, niż nóż sławnego chirurga. Tylko tobie, twoim mądrym łapom, nie dam się więcej dotknąć mego ciała.

(Papugi krzyczą, jak opętane. Przepływa malajska łódź z pomarańczowym, prostokątnym żaglem. Mózgowicz przesuwając ręką po łbie)

Przyniescie hełm białemu Radźdży, psie syny. Przepalisz sobie mózgownicę, profesorze.

(Malaje biegną do kampongu).

MÓZGOWICZ

Teraz naprawdę diabli mnie biorą. Czuję nienasycenie tak potworne, że mózg mi się w kaszę gorącą zamienia. Taką kaszę, jaką jadłem kiedyś, w mojej chałupie. To jest właśnie straszne: ta przepaść, która dzieli mnie, cywilizowanego chłopa, od tych dzikich. Małość tej całej komedji. Jestem zwykłym awanturnikiem, a w gruncie rzeczy mdłym demokratą — nic więcej. Wszystkie problemy Tumora, Tumor's Problems, wszystkie funkcje ponadskończone, są absolutnie niczem.

(Malaje przynoszą biały hełm tropikalny i kapelusz Izi i z objawami najgłębszej czci wkładają hełm na głowę Mózgowicza). Ale odegram moją rolę do końca. (do Malajów) Zawołać tu Anak Agonga. (Malaje biegną na lewo) Teraz przewycięzę mdłą demokrację defini-tywnie. Będę najprzód władcą okrutnym i groźnym, a potem zaprowadzę socjalizm zupełny. Niech się zgodu-jują te bydlęta w ich własnym sosie.

(Na lewo wśród krzaków zbierają się tłumy Malajów. Widać tylko pierwsze szeregi. W oddali słychać grzmot i słońce przybiera rudy kolor).

(Izia pogrążona w marzeniu. Pauza)

(Dwóch białych w hełmach i kakowych ubraniach wprowadza z lewej strony starego Radźdżę Patakula. Za nimi idzie dwóch Malajów w czerwonych sarongach i czerwonych turbanach. Radźdża z siwą brodą, ma tylko przepaskę na biodrach).

(Malaje ustawiają leżak na prawo. Mózgowicz siada na leżaku). (Do Izi zbliża się młody Malaj niezwyklej piękności i szepcze jej coś na ucho).

MÓZGOWICZ

(do Radźdzy)

Patakulo: Ja Tumor I., władca Timoru, syn Nieba i Ognistej Góry *(wulkan krwawo błyska na tle ciemniejącego burzliwego nieba)* Ja jestem ten, który ma prawo stopić was w jedną miazgę, wysuszyć morze i zgasić tę górę, co mnie porodziła.

(Ciemności burzliwe coraz większe. Błyska się i grzmi coraz silniej) *(wskazuje na Radźdżę)*

Wasz dawny władca jest tylko cieniem cienia wobec mojej białej potęgi.

IZIA

(przerywając rozmowę z młodym matajem)

Źle deklamujesz, profesorze!

(Malaje szepczą między sobą) *(Mózgowicz miesza się)*

JEDEN Z DWÓCH MALAJÓW ZE STRAŻY PRZY KAMPONGU

(w niebieskim turbanie)

Widziałem. On się przed nią ukorzył. Nasze lance czarowane nie mogły spaść na jej ciało.

II. MALAJ

To jest nowe bóstwo białych. Ręka z lancą skamie-

niała mi, gdym chciał ją uderzyć. Biały Radźdża oddał jej cześć nadziemską.

MÓZGOWICZ

(wstaje)

(Ostatnim wysiłkiem stara się opanować) (wyjmuje rewolwer i strzela w starego Radźdżę, który wali się na ziemię) (krzyczy)

Boy! Lemonsquash!!

(pauza) (mówi dalej spokojnie)

Ja Tumor I., władca Timoru jestem jedynym panem tej ziemi. Bóstwa innego niema.

(Młody Malaj, który wyleciał z kampongu, podaje mu na tacy limonadę) (do białych w kakowych strojach) Dajcie ją tutaj (wskazuje na Izię). (Izia podchodzi do niego i przez chwilę patrzą sobie w oczy. Straszliwa błyskawica rozświetla krajobraz i grzmot wali się z chmur na ziemię).

IZIA

(wybuchu niepowstrzymanym śmiechem)

Tumek! Stary kabotynie. Czyż możesz myśleć, że mnie weźmiesz na taką sztuczkę. Ty, stara rozbyczona wydro!

MÓZGOWICZ

(z rezygnacją, patrząc na nią z zupełnem poddaniem się)

Jestem bezsilny! Iziu, Iziu, czemuż jest cała matematyka i absolutna wiedza, wobec jednego kwadratowego

centymetra twojej skóry. Och! Gdybym mógł być artystą!
(*Młody Malaj zbliża się do nich z węzowym uśmiechem*)

MŁODY MALAJ

Biały Radźdzo! Oddaj mi twoje bóstwo! Wulkan się w niej kocha. Odkąd weszła na naszą wyspę, Gunug Malapa drży cały i oddycha ogniem. Od wieków nie był już tak zły. Jestem synem Patukula i prawowiernym panem i prawnukiem podziemnego ognia. Poślubię ją jak siostrę, a czcić będę tak, jak dotąd czciłem naszych bogów w zaświatowej Jedności Bytu.

MÓZGOWICZ

(*wściekły*)

Porozumieli się. Przekłęci arystokraci. Tylko jedna sztuka jest przewyciężeniem problemu rasy. Nie myśl Izium, że nie kocham matki twojej. Ale dla ciebie tylko spełniłem tę ohydłą zbrodnię. (*do młodego Malaja*) Nie znasz jej, księżę Tengah. To nie jest żadne bóstwo. To jest zwykła, znudzona, biała koza. Czeką cię straszna kara za splugawienie ognia gór, jeśli weźmiesz ją za żonę.

KSIĄŻĘ TENGAH

To ty jej nie znasz biały Radźdzo. Ty patrzysz na wszystko przez twoją okropną mądrość, która zakryła ci prawdziwą piękność duszy, morza i gór. Tyś zabił ojca mego, nie będąc jego wrogiem. Czy może być coś ohydniejszego!

MÓZGOWICZ

Skąd wie o tem, ten kolorowy mydłek?

IZIA

Zabiłeś tego starca, aby mnie zaimponować. Mnie! O, jakże pogardzam, tobą, biedny belfrze od aktualnej nieskończoności. Płódź dalej twoich wyrodków z moją biedną mamą, którą oszukałeś, ale nie waż się wchodzić do mojej świątyni.

(Burza przechodzi stronami. Ciemności rozpraszają się powoli. Znudzeni widowiskiem Malaje rozchodzą się powoli, unosząc trupa Patakula).

MÓZGOWICZ

(z rozpaczą)

O, jakież to wszystko pospolite i marne! Nie wiem, czy jestem ultra-cywilizowanym człowiekiem, czy tylko zwykłym bydlęciem, które udaje bezpiecznego dwunoga. A! Szkoda, że tu niema Greena. Tam w Em. Si. Dzi. Eu. mogę jeszcze zrobić wrażenie. Tam mogę im pokazać tę klasę liczb, którą oznaczyłem perskimi cyframi. Ale ilość alfabetów jest skończona. Te liczby, moje własne, nazwę tumorami. Tumor I. nie będzie władcą marnej wysepki, będzie pierwszą liczbą tego potwornego szeregu, który wywróci im mózgi, jak stare rękawiczki.

IZIA

(do Tumora Mózgowicza)

Jednak w pewnym sensie masz coś w sobie wielkiego.

(obejmuje księcia Tengah) Ale kocham tylko jego, prawdziwego potomka ognistej góry.

KSIAŻĘ TENGAH

(w dzikim zachwycie)

Jeśli przez śmierć ojca, posiadm miłość bóstwa, bądź
błogosławiony biały Radzdzo!

(całuje ją w usta)

(Mózgowicz rzuca hełm tropikalny i wyciera spocone włosy).

MÓZGOWICZ

(z coraz większą rozpaczą)

Co robić, co teraz robić? Nie mam miejsca na świecie.
Jestem i niema mnie. Nieskończoność wyżyła mi wewnętrżności. Gdybym mógł choć jeden wierszyk napisać.

O! Co za nieludzka męczarnia!

(do Izi)

Czy myślisz, że ten dzikus kocha cię? On widzi w tobie tylko poetkę. Zawróciłaś mu głowę głupimi wierszykami.

IZIA

(deklamuje)

W czarnym, bezdusznym żarze,
Sporcone cielsko dusi mnie i gnębi.
Tak bóstwo nieznane mnie karze
Za czyny świetlistych gołębi.

Gołąbki białe, marzenia dziewczynki
Na mokrej trawie zwałkonione świnki.
Tyś jeden, a ich jest tysiące.
Chciałabym ciało mieć tyle, ile myśli,
A każde ciało, by kochanków miało
Tyle, co liczb jest choćby w Alef-zero.
O, otchłań niedosiężna słoweczka: dopiero,
O, karki rozbyczone, korzące się i gnące.
Chciałabym czarne, przepalone żądze
W błękitne zawrzeć miesiące.
Zawrzeć na wieki więzienia wrzesciędzie,
Które zbudował na bezdrożach świata,
Jakiś zwycięzki, tytaniczny bóg:
Dla chorych djabłów, przewrotnych aniołów
Szpital warjatorów, za którego próg
Nie przejdzie mędrzec, ani księżę liczb.
Tam już na wieki oddać się czarnemu,
Którego góra zrodziła ognista
I tam pozostać — biała, jako glista,
Pozostać wierną bóstwu nieznanemu.
W przepięknej małpy uściskach się miotać,
Słuchając ciszy międzygwiazdnych ech,
Patrzeć na męki i krew czarną żłopać,
W bebecchy krwawe puszczać zimny śmiech.
Kwiczeć z rozkoszy i rozkosz tę kopać,
Aż póki nie przyjdzie ostateczny zdech.
I być niewinną i czystą dziewczynką,
Różowy język słodką zwilżać ślinką.

MÓZGOWICZ

(opanował się zupełnie)

Możesz to umieścić w dziecinnem, futurystycznym pi-semku, które redaguje Moryś. Ale na mnie niestety nie robi to już wrażenia.

IZIA

(wydyma pogardliwie usta, uchylając się księciu Tengah, który chce ją dalej całować)

Jeszcze coś lepszego ci pokażę. Ten czarny ma jakiś dziwny zapach. Nie to spleśniała bielizna, nie to suszone grzyby. O, jakież życie jest okropne! Czemuż prawdziwi ludzie są tylko dzikimi zwierzętami, czemuż zapach ich jest wstrętny dla naszych zepsutych nozdrzy?

MÓZGOWICZ

(śmieje się bestjałsko, tryumfując)

A widzisz europejska gąsko: kultura zwycięża.

IZIA

To jest twój tryumf. Ten czarny idjota jest wprost wstrętny. Wykręciła mi się sprężynka.

KSIĄŻĘ TENGAH

(nie rozumie dobrze co się dzieje. Do Izi)

Co mówisz, córko księżycy?

MÓZGOWICZ

(z ironją)

Ona otwiera ci skarbiec swojej kultury na ościarz. Za-

raz się dowiesz wszystkiego, synu ojca, którego uka-
trpiłem sam nie wiem po co.

IZIA

(smutnie)

Niestety wiesz dobrze. Wszystko się skończyło. Nie
wiem komu oddać resztki dni moich. Ten czarny książę,
to była moja ostatnia nadzieja.

MÓZGOWICZ

(niespokojnie)

A ja ?

IZIA

Och pan, panie profesorze będzie sobie dalej księciem
liczb, alefów, tumorów n-tej klasy i innych tym podo-
bnych stworów. Straciłam to, co mi dawało siłę w sto-
sunku do Ciebie, profesorze. Twoja córka zastąpi mnie
dla ciebie zupełnie. Taka zdolna dziewczynka !

*(Tengah patrzy na nich z wzrastającym zdumieniem.
nie rozumiejąc nic zupełnie)*

MÓZGOWICZ

Wiesz, że i mnie wykręciło się wszystko. Tak mi
się zdaje przynajmniej. Dobrze, że nie zwarzowałem
dotąd. Ciekawy jestem co by Alfred powiedział, gdyby
mógł widzieć moje ostatnie przeżycia. Nie Alfred Green
oczywiście, tylko mój pierworodny zatraceniec.

KSIĄŻĘ TENGAH

(*do Izi*)

Jedyna moja, moje bóstwo! Czemu nie widzisz mnie, czemu mnie odpychasz? Czyż twoje białe ciało nie chce być ofiarą podziemnego ognia? Jestem sam jak ognista góra. Chcesz to cię spaleć jednym moim oddechem.

IZIA

Twój oddech nie pachnie siarką, tylko surowem mięsem, książę. Nikt jeszcze nie spalił nikogo przy pomocy surowego mięsa.

MÓZGOWICZ

(*do księcia Tengah*)

Mówiłem ci czarno-żółty bydlaku, że to jest zwykła biała gąska. Masz teraz prawdę z ust, które całowałeś przed chwilą z najwyższą miłością.

(*Książę Tengah chwieje się*)

KSIĄŻĘ TENGAH

(*z rozpaczą*)

Zdradziłem siebie. Straszliwe są kłamstwa białych, strasliwym jest jad ich dusz, zatrutych mądrością. Słowa ich są bardziej zabójcze niż nasze miecze, a broń ich silniejsza od świętości naszych bóstw. Biały Radźdzo! Nie zabijam cię, bo nie chcę, by twoja podła krew splamiła mój miecz, przeznaczony dla prawdziwych, godnych mnie wrogów.

(Wydobywa kriss z pochwy i przebija się)
Przeklęta bądź biała glisto, dla której zdradziłem wszyst-
ko, co było mi święte *(umiera)*.

IZIA

Nareszcie pozbyłam się tego kolorowego gacha.

MÓZGOWICZ

(patrzy na nią z zimnym zachwytem)
Iziu! Jesteś cudowna. Gdyby nie ten szalony upał i nowy
pomysł n-tej klasy Tumorów, nie wiem, czy nie zako-
chałbym się w tobie na nowo. Właściwie jesteś jedyną
kobietą która...
(wpada dwóch Malajów w błękitnych turbanach)
*(padają na twarz przed Izią) (Mózgowicz okazuje nie-
zadowolenie).*

I. MALAJ

Królowo! Łódź przybiła do zatoki Bangaja. Biały wódz
idzie tu. Przywieźli nowe bóstwo.

II. MALAJ

Większa jest i tłustsza od ciebie. *(sposstrzega leżącego
księcia Tengah)* Lecz cóż to? Nasz wódz martwy,
przebitý własnym krissem.

I. MALAJ

Sam sobie śmierć zadał według przepisów przodków
swoich. *(obaj korzą się przed trupem)* *(robi się zupełnie
jasno i słońce zalewa cały pejzaż).*

II. MALAJ

Nie mamy już władców. Chyba nowa bogini przywiozła nam kogoś z za morz dalekich. *(wstają i pozostają w oczekującej pozie)* *(Mózgowicz dobywa lunetę z kieszeni i patrzy między krzewy na lewo).*

MÓZGOWICZ

(patrząc w lunetę)

Poznaję go. „Prince Arthur“, krążownik I. klasy. Wysiedli tylko co na brzeg. Sacred blue: Green wysiada z łodzi. Balantyna Fermor, kapitan Fitz Gerald i ...
(opuszcza lunetę) *(Izia chwytą lunetę i patrzy)*

IZIA

(tupie nogami z podniecenia)

Green tu idzie! Green, Green przyjechał! Balantyna! To pociecha dla ciebie profesorze. Ona cię tak uwielbia.

MÓZGOWICZ

Ale przecie jestem zbrodniarzem. Zabiłem niewinnego człowieka.

IZIA

(opuszcza lunetę)

Rzeczywiście! Robić sobie skrupuły z jakiegoś malaja. Pluń na to! Niech żyją Alefy i Tumory. Czemu jest śmierć wobec aktualnej nieskończoności?

MÓZGOWICZ

Może masz rację. Niema zbrodni. Iluż jest dziś ludzi,

którzy tylko dlatego mają pretensje do praw człowieka, że chodzą na dwóch nogach. Jakie jest kryterjum dla odróżnienia człowieka od bydłęcia? Dawniej było to wiadomem, dziś w czasach mdłej demo...

(Huk armaty z krążownika przerywa mu dalsze słowa).

IZIA

To Green wałnął na wiwat z dwunastocalówki krążowca.
Takeśmy się kiedyś umówili.

(z krzaków wychodzi: Green, Fitz Gerald, Balantyna Fermor i pięciu ludzi załogi, uzbrojonych od stóp do głów).

GREEN

Hip! hip! hip! Hurah! Mózgowicz żyje! Brać go chłopcy! Kapitanie, daj rozkaz. Bierzemy kraj ten w nasze posiadanie.

(Ludzie załogi rzucają się na Mózgowicza i krępują go linami. Izia śmieje się zażenowana bardzo).

(do Izi) Pani! Jesteś cudowną kobietą. My, matematycy, umiemy cenić dziwność życia. Wszystko jedno co było. Przeszłość twoja nie istnieje. Istnieje tylko nauka, dla której można poświęcić wszystko, nawet honor męski, *(do Balantyny)* Miss Fermor, Right Honourable Miss Fermor, proszę poświadczyć wiarogodność moich słów. Kocham pannę Krzeczorską, wyrzekam się wszelkich tajnych sprawek Em. Si. Dzi. Eu. Powtórz pani te słowa, jedynej kobiecie, która godna jest nosić moje

nazwisko, a może i tytuł, o ile Bóg miłosierny, [matematyka, a religja to dwie zupełnie różne strony tej samej rzeczy,] pozwoli mi żyć dłużej, niż moi kuzyni.

BALANTYNA

Iziu! Jestem tu w imieniu twojej matki (*Do Mózgowicza, który leży skrępowany na ziemi*) A propos! Rozhulantyna spłodziła nareszcie Izydora. Cudowny chłopak. Oczy ma prawie na nosie, jak wszyscy Baår-Łukowicze. Urodzony matematyk.

MÓZGOWICZ

(*radośnie*)

O, jakże wdzięczny wam jestem, żeście mi odebrali moją wolę. Jestem zatruty własną siłą. Po prostu za dużo mam woli i dlatego nie mogę mieć żadnej decyzji. Nie-skończoność zaktualizowana w dowolności zupełnej. Och, co za rozkosz jest być uwięzionym. Iziu! W imieniu matki, jako ojczym, daję ci zupełną wolną wolę. Green! Stary drianu! Masz najładniejszą dziewczynkę na świecie.

Ona cię kocha...

BALANTYNA

(*przerzywa mu*)

A w dodatku niema żadnego mezaljansu. Alfred jest Green of Greenfield. Jest piątym synem Markiza of Fifth Maske-Tower. Oby żyli wiecznie jego bracia, ale gdy umrą, będzie parem i najbogatszym człowiekiem w Anglii.

MÓZGOWICZ

(z wściekłością)

Psia krew! Tego nie wiedziałem. Dogs blood! Czemu ja nie jestem niczem podobnem. Z tego punktu wszystko można zlekceważyć.

GREEN

Jesteś Mózgowicz. Tout simplement Mózgowicz. Oddałbym ci mistrzu dziesięć tytułów za to piekielne nazwisko, którego nawet wymówić nie potrafię.

BALANTYNA

Prawda? Jest w tem nazwisku coś jakby zapach prasłowiańskich lasów, ulów pszczół dzikich, rozgrzanych słońcem na kwiecistych polanach, rzek i jezior pełnych złotych ryb i wodnych duchów. Och, jakie to piękne. Nieście go na okręt. Lzydor go czeka. Lzydor macha tłustemi rączkami i woła niemym językiem ojca, którego już uwielbia.

(*sposstrzega trupy Anak Agongów*)

Wielkie nieba! Mózgowicz narznął tu Malajów, jak kapusty.

IZIA

(w objęciach Green'a)

Zupełnie przypadkiem stał się tu wypadek. Ten młody czarny zginął przez miłość dla mnie. Ten stary chciał zabić profesora. Zastrzeliłam go, jak psa. Cóż robić.

Każdy się ratuje, jak może.

GREEN

(nie panując nad sobą)

Jakże cię kocham Iziu! Jak można... Tak krótko, tak mało... A potem takie rozstanie... Och, jakże cię kocham.

BALANTYNA

(do majtków)

Bierzcie go chłopcy! A trzymajcie go zdrowo. Bo to największy mózg cywilizowanego świata. Trochę zboczony, bo wszystko co wielkie, musi być zboczonem i perwersja jest dziś poprostu synonimem wielkości. *(Majtkowie biorą Mózgowicza i wychodzą z Fitz-Geraldem i Balantyną. Green zatyka kołek z angielską flagą).*

IZIA

A jednak żal mi czegoś. Sama niewiem czego. Zostanie tylko sen. Wspomnienie nie byłych nigdy wypadków. *(z nagłą decyzją)* Green — muszę ci powiedzieć wszystko: zdradziłam cię z Tumorem.

(Green zwija się w kłębek z bólu i zazdrości i w tejże chwili rozpręża się w dzikiem pożądaniu).

GREEN

(rzucając się bezwładnie na Izię)

Kocham cię, kocham cię! Milcz! Są chwile tylko, a wszystko jest złudzeniem w nieskończonych nieskończonościach bytu.

IZIA

(poddaje mu się obojętnie)

A tak było ładnie, tak dziwnie! Jaka szkoda, jaka
szkoda...

(Green niesie ją omdlałą, na lewo w kwieciste krzewy).

Kurtyna.

KONIEC AKTU II.

A K T III.

Ten sam pokój co w akcie I. Rozhulantyna Krzeczberska, S. voto
Mózgowiczowa ubrana jak w akcie I. chodzi z małym dzieckiem na
rękach, nucąc: aa, a! kotki dwa, szare, bure, obydwaj.

ROZHULANTYNA

Aa, a, kotki dwa,
Szare, bure, obydwaj.

Aa, a, kotki trzy,
Zjadły mózgi szare wszy.

Aa, a, kotki cztery,
Poszedł papa do hetery.

Aa, a, kotków pięć,
Mama czuje dziwną chęć.

Aa, a, kotków sześć,
Nieskończoność w szklance mieść.

Aa, a, kotków siedm,
Papa rzekł: I love you, madam.

Aa, a, panter osiem,
Mama rzekła...

(wchodzi Mózgowicz)

MÓZGOWICZ

Jakże się ma lzydor?

ROZHULANTYNA

Izydor ma się dobrze, ale ty ojcie Mózgowcze, jak się czujecie w naszym zwykłym, codziennym życiu?

MÓZGOWICZ

Nie wiem jak zawrócić z tej drogi cnoty. To jest ważniejsze, jak ty się patrzysz na to, że Izia wychodzi za Green'a?

ROZHULANTYNA

Wiesz, że jestem wolna od rodowych przesądów. Gdy wszyscy trzej jego bracia umrą, Izia zrobi świetną partję.

MÓZGOWICZ

Ty nie masz pojęcia czym to jest dla mnie. (*wskazuje na Izydora*) To jest moje ostatnie dziecko z tobą. Izydor ma coś w twarzy, co mi uniemożliwia zupełnie chęć płodzenia dalszych Mózgowiczów z tobą (*z nagłą decyzją*) Dziś podałem się do rozwodu i dziś jeszcze oświadczę się o rękę Miss Fermor.

ROZHULANTYNA

(*obojętnie*)

Nie chcę nic. Siedmiu synów wystarczy. Wszystko jest już poza mną. I miłość chamska i wszystkie duchowe perwersje. Uszlachetniłam ród Mózgowiczów. Alfred może się starać o córkę lorda. Nikt mu nie odmówi.

MÓZGOWICZ

Zapominasz, że ja się mogę starać o córkę lorda, a na-

wet być przyjętym. Żyłem sam, zatopiony w moich rachunkach. Spłodziłem nowy świat. Cantor, Georg Cantor, jest małym dzieckiem, wobec moich definicji nieskończoności, a Frege i Russel są marnym przelewaniem greckiej pustki w pustkę naszych czasów z ich definicją liczby, wobec tego co wymyśliłem dziś rano...

ROZHULANTYNA

(nie przestając niańczyć ciamkacza)

Ohydny kompromis. Mówił mi o tem Alfred...

MÓZGOWICZ

Zabiję to pierworodne ścierwo! On nic nie wie. On chce demaskować to, czego nie pojął. Czyż nie rozumiesz tego, że pewnie mózgi nie są w stanie pojąć pewnych rzeczy. Moja logika jest nie do przewyciężenia. Tylko ując w jedno ten szereg rozumowań, na to trzeba łba zaiste przedniego. Ja, ja tylko jeden mam tę siłę.

Oni to czują i dlatego boją się.

(wchodzi Green z Izią)

GREEN

Profesorze! Twoja teoria zwycięża. Miałem dziś biuletyn z Em. Si. Dzi. Eu. Nawet Whitehead zachwiał się.

MÓZGOWICZ

Oni przyjmują tylko to, co podpada pod już stworzone kategorie. Samemu pojęciu logiki nadaliśmy inne znaczenie, my: Mózgowicz. Tego nie wytrzymają te pół-główki.

GREEN

A jeśli zwyciężysz, profesorze? Co wtedy? Co począć z całą mechaniką, co począć z budową maszyn, czym zastąpić prawo ciężenia? Pierwszy przykład naszych czasów, żeby dedukcja czysta zwaliła światopogląd, mający kilkaset lat za sobą.

MÓZGOWICZ

Czy myślisz, że ja mówię rzeczy ostateczne? Czy możesz myśleć, że ja mogę wobec takich półgłówków, jak ty i twoi koledzy z Em. Si. Dzi. Eu. powiedzieć prawdę?

IZIA

O, jakże jestem szczęśliwa, że choć dwa miesiące kochał się we mnie taki genjusz.

GREEN

(do Izi)

Przestań, głupia kuro! *(do Mózgowicza)* Profesorze! Powiedz mnie jednemu. Powiedz mi jakim sposobem osiągnęłeś wzór na n -tą klasę liczb? Powiedz, czym jest Tumor-jeden? ✓

MÓZGOWICZ

Jesteś głupi jak but. Powiem ci i w sekundę zapomnisz. Na to trzeba naprawdę mózgu tytana. Czy myślisz, że wszystko naprawdę jest krzywe, i wszystko naprawdę jest współczesne? To są elementarne pytania z transcen-

dentalnej dynamiki, której zastosowaniem dziecinne
wprost jest moja teoria.

GREEN

Powiedz tylko definicję słowa „naprawdę“, profesorze.
Nic więcej. Powiedz, jak definiujesz „albo“ i „oprócz“,
te dwa słowa tylko. *(pada przed Mózgowiczem na ko-*
lana).

MÓZGOWICZ

(ponuro)

Pośmiertne wydanie moich dzieł obejmie i ten proble-
mat. Tymczasem mogę ci tylko powiedzieć tyle: Ty,
albo ja. Izia ta nędzna Izia, której jesteś niewolnikiem
i która zdracza cię ze wszystkimi „stewartami“ podczas
oficjalnych wycieczek, nie mówiąc już o członkach Em.
Si. Dzi. Eu., jest wykładnikiem mojej ostatniej myśli.
Poznaj ją dobrze przyszły markizie of Fifth-Maske-To-
wer. W niej jest tajemnica tożsamości dwóch słówek:
„albo“ i „oprócz“. Poznałem to w tej chwili, gdy za-
bijałem starego Patakula.

GREEN

(na kolanach)

Mów! Zdaje się, że zaczynam rozumieć.

MÓZGOWICZ

Czy myślisz, że ja to rozumiem? Moje ostatnie myśli
będą tak trudne, jak są trudne do odcyfrowania egip-

skie głązy z figurkami. Ale czy znajdzie się taki Cham-
poljon logiki, tej siły mózgu człowiek, który odcyfruje te
myśli i zamieni je w symbolizm zrozumiały dla wszystkich?

GREEN

Ja nim będę.

MÓZGOWICZ

Ty, poczciwy idjoto? (*śmieje się dziko*) Ty, który nie
masz żądy prawdy, tylko marzysz o wszechświatowym
matematycznym szantażu!

(*Rozhulantyna niańczy z coraz większą pasją Izydora*)

ROZHULANTYNA

Oni to rozstrzygną. Nasze dzieci. W nich jest cała przy-
szłość.

MÓZGOWICZ

Mylisz się, dziecko. Następne pokolenie musi z tego
zrezygnować. To tylko my, kulturalne clamy, mamy tę
dziką siłę. Za lat 20, chamów o mózgał bawołu, a tak
subtelnych, jak odczucia historycznej księżniczki, nie
będzie już wcale. Do tego dąży cała nasza zachodnia
demokracja. To jest to, czemu sprzeciwia się wspaniały
ruch zniszczenia, któremu oddać się wschód.

GREEN

(*wstając*)

Tumor Mózgowicz — jako zwłękły wszechświatowy
maniak państwowego socjalizmu. Co za upadek!

MÓZGOWICZ

Mylisz się, idjoto! Cofnięcie kultury. Oto czego mnie nauczyło władanie wyspą Timor. Wiesz, że zamordowałem tam człowieka, a drugi przeze mnie sam skończył dobrowolnie. Czy wiesz, czym to było dla mnie?

(Izia pada przed nim na kolana)

IZIA

Tumorze! Jesteś jedynym wielkim człowiekiem, jakiego znałam.

ROZHULANTYNA

Wstydz się Izium! Przy Matce.

MÓZGOWICZ

(do żony)

Twój najukochańszy Izydor będzie stworem, którego wstydzić się będą wszyscy jego przodkowie: bydłęca rasa Mózgowiczów na równi z mongolskimi chanami, z samym Wielkim Dżyngisem na czele. Precz mi z oczu, przekłeta suko! Ja jestem panem świata!!

ROZHULANTYNA

Ach, więc tak? Więc wszystko co zrobiłam jest na nic? Więc ja mam być kopaną jeszcze za moje upokorzenie? Więc ty śmiesz obrażać to, co jest we mnie najświętsze.

Masz! Podwójny komedjanciel!

(Rzuca się do okna na prawo i wyrzuca przez nie Izydora Mózgowicza w pieluchach, poczem staje zwrócona)

twarzą do widowni z wyrazem zupełnego obłędu. Chwilę trwa straszne napięcie jej twarzy w wyrazie zwierzęcego bólu. Poczem pada na ziemię i wyje dziko, jak wilczyca).

GREEN

Ależ, pani profesorowo! Tak nie można. To jest zupełna dzicz.

IZIA

Mamo! Nawet ja, ja lubię rzeczy potworne, ale to; och, ja tego nie wytrzymam! *(zanosi się od płaczu).*

MÓZGOWICZ

A ja jestem zupełnie obojętny. Przecięta została pępowa, która łączyła mnie z dziećmi. Jeszcze jedna zbrodnia staje się przeze mnie.

GREEN

Uwielbiam cię profesorze. Jesteś tytanem. Mimowolny wspaniały czyn!! Czyż może być coś rozkoszniejszego.

IZIA

(do Greena)

Ach, więc ty jesteś tak słabym, Alfredzie. Ty możesz korzyć się przed tą starą kukłą? Byłam świadkiem jego zbrodni. Pożal się Boże. Mimowolne zbrodnie życiowego niedołęgi. Zakamary duszy ukazane w świetle ponadskończonej etyki. On ma sumienie, ten zgłaretowany

potwór. On cierpi przytem. Czyż tego nie widzisz, Alfredzie? Czyż jest coś podlejszego nad wyrzut sumienia?

GREEN

Tego, przyznając się, nie miałem nigdy. Po najstraszniejszych orgjach w Em. Si. Dzi. Eu. czułem się doskonale. Zabijaliśmy małe dziewczynki z plebsu w sposób niesłychanie okrutny...

ROZHULANTYNA

(zakrywając mu usta rękami)

Ty, przebrzydły paskudniku! To ty wywołałeś tę ohydłą rozmowę. Przez ciebie zabiłam biednego Izydora...

(Wchodzi Józef Mózgowicz z gazetą w ręku. Za nim dwóch tragarzy, w niebieskich fartuchach, wnosi pokrwawione pieluchy ze zmiążdżonym Izydorem Mózgowiczem).

JÓZEF MÓZGOWICZ

Dopraszam się łaski. A to przecie o moim syneczku piszą tak w gazetach. Bohater! Myśliciel! Geniusz myśli i geniusz czynu. A gdzie to ta wyspa? A czy to prawda, że on ogłosił się synem góry ognistej. Oj, syneczku, źle, żeś się zaparł twego prawowitego ojca i kara cię nie minie.

MÓZGOWICZ

(zawstydzony bardzo)

Bo papa, bo ojciec, *(jaka się)* bo do stu tysięcy dja-

błów precz z tym szpargałem! (*wyrywa mu gazetę
i ciska o ścianę*).
(*Wchodzi Irena Mózgowiczówna w czarnej sukience*)

IRENA

Ojcie! Ja cię wyzwolę z tych ostatnich więzów. Nie
chcę żadnej miłości. Ja wiem wszystko.

MÓZGOWICZ

(*wzruszony do głębi*)

Zapomniałem, że mam jeszcze córkę. Irenko! Ty jedna
przy mnie zostaniesz.

IRENA

(*obejmuje go mocno i całuje w czoło z niezmierną czu-
łością*)

Tak ojcie! Porzuć tę okropną robotę. Możesz ogłosić
to po śmierci. Ja wiem. Alfred nie rozumie nic. On
cię tylko podgląda. On jest bardzo zdolny, ale tylko
do pewnej granicy. Ja znam go dobrze. Ja mu dałam
podstawy teorii czystej wielości. (*do Green'a*) Green!
Jak pan śmiesz zaprzętać ten wielki umysł całą tą ba-
liwernią? Czy wyście powarjowali wszyscy w tem wa-
szem przeklętym Em. Si. Dzi. Eu?

GREEN

(*kłania się uniżenie*)

Ja wiem też dość wiele. Pani jest bardzo zdolna, panno
Ireno, ale pani nie wie, że on stworzył klasę liczb ozna-

czonych perskimi znakami i teraz ma sformułować dowód, że liczność pewnej wielości jest wyższa od wszystkich, jemu tylko i szatanowi znanych, wielości. Nawet ośmielił się nazwać to: jest to Tumor-jeden.

(Irena ze zgrozą spogląda na ojca, poczem bierze z rąk tragarzy pokrwawione pieluchy i przyciska je do piersi).

IRENA

Biedny, biedny Izidor!

JÓZEF MÓZGOWICZ

Nawet dziecku biednemu nie darowali, psie pary.

IRENA

(do Józefa)

Dziadziu! Chodźmy stąd. Tu wprost nie można oddychać. Jakże strasznie zazdroszczę Leibnizowi. On był takie dziecko, jak ten biedny trupek.

(Bierze Józefa pod rękę i wychodzi, trzymając pieluchy pod lewą pachą) (za nimi wychodzą tragarze).

(Rozhulantyna odzyskuje równowagę ducha i poprawia sobie suknie. Powoli z matki i wilczycy staje się znów kochanką).

ROZHULANTYNA

Teraz cię przesilili, ojcie Mózgowcze. Teraz już chyba

nie dasz rady. Nawet Ira cię opuściła i rodzony papo-
człowiek zwał jak kamfora.

GREEN

Ja jeszcze jestem. Ja z nim zostanę.

MÓZGOWICZ

Ty nędzny krabie, ty podpatrywaczu niepojętych myśli,
ty psychiczny utrzymanku zwyrodniałej dzierlatki? Wolę
pójść na wygnanie i służyć za żer Dyakom z wyspy
Timor, niż tobie zawierzyć myśl choć jedną. On myśli
że wie coś, bo wymówił wyraz: Tumor-jeden. To nie
są zaklęcia dla zdobycia skarbu, na to trzeba mieć
głowę na kręgosłupie, a nie klatkę na różnokolorowe
ptaszki. Ty zakuty myślowy gałganiarzu! Ty puder-
mantlu, ty lokaju skurtyzaniałej nieskończoności!

(Nagle słabnie i siada na ziemi)

*(Wchodzi Balantyna Fermor, w różowej sukni i ol-
brzymim kapeluszu, z czarnem, kolosalnem piórem)*

(Rozhulantyna rzuca się do niej).

ROZHULANTYNA

Balatynko! zabiłam Izydora! Czy ty rozumiesz co się
stało? Biedny, mały Izydor rozbity na bruku przeze-
mnie. To on mnie do tego zmusił! Ten potwór, ten
cham — Mózgowicz.

BALANTYNA

(spokojnie)

Ani cię nie zmusił, ani ty nie zabiłaś Izydora. Dawno

już, prawie od urodzenia widziałam w nim straszne skłonności. A nadewszystko skłonność do ohydnych chorób. Mówił mi o tem Józef. Poczciwy stary. Bardzo przejęty jest swoją rolą.

IZIA

(która dotąd pilnie porządkowała zabawki)

Ta musi zepsuć każdą najskromniejszą nawet potworność. Wszystko dla niej jest jasne i proste, jak równania całkowite. To dobre dla Ireny. Mówię wam, że ona wróci tu za chwilę.

GREEN

Przestań, ach przestań. Zdaje mi się, że burza duchów przelatuje mi przez głowę. Tonącym w morzu śmierci za życia nie odmawia się ostatnich życzeń. Iziu! Czuję, że mi się wymykasz. Tak ślizka jest twoja mała duszyczka, jak gromada ślizieni.

IZIA

Muszę ci odmówić ujęcia we mnie tego, co jest czystą igraszką słów. Stworzyłam taki mały świeatek, z okrucichów różnych słówek, niebacznie przez was mówionych.

Taki malutki świeatek, ale za to tak bardzo mój.

BALANTYNA

(z ironją)

Ach, jakie to wzruszające. Nie mów tak dalej, bo czuję, że łyzy mi stają w oczach.

(Wchodzi Alfred i Maurycy Mózgowiczowie)
(Mózgowicz wstaje z ziemi)

ALFRED

(wyciągając gazetę z kieszeni)

Słuchajcie! I ty mamo. Tylko błagam cię, wytrzymaj
tę wiadomość...

ROZHULANTYNA

(błagalnie do Alfreda)

Oszczędź mnie... Już nie mogę.

IZIA

(stara się ją uspokoić)

Mateczko. Nic już się stać nie może. To był sen. Weź-
miemy cię do nas z Alfredem. Green! Prawda? Nie
odmówisz mi tego.

GREEN

(zimno)

Pod pewnymi warunkami.

ALFRED

(czyta)

Tytuł jest: „Potworny kompromis. Znany filar współ-
czesnej matematycznej wiedzy, sir Tumor Mózgowicz,
niedawno mianowany dziedzicznym baronetem Queens-
landu, zdobywca wyspy Timor i twórca nowej konstytu-
cji Malajów w III-cim dystrykcie morskim, padł ofiarą
swojej własnej słabości...

MÓZGOWICZ

(ponuro)

To pisał Green. Przypomnijcie sobie, co mówił tu przed chwilą. Leżał przedemną na brzuchu, jak przed posągiem Izydy. Czyż nie jest to ohydne świństwo?

MAURYCY

Papuś, papuś! Słuchaj dalej.

ALFRED

(czyta)

...której wyrazem jest ostatnia teoria, ogłoszona w organie Em. Si. Dzi. Eu. „Unity and Diversity“. Teoria ta, dotyczy znanego już tworzenia dowolnej klasy liczb...”

ROZHULANTYNA

Green! Jak mogłeś coś podobnego uczynić!

(wbiega Irena)

IRENA

Kłams'wo, potworne kłamstwo! On chce go wypróbować. On podmówił Alfreda. Ja wiem wszystko. Tylko co zdradził was Józio. Ma gorączkę i opowiedział mi wszystko. Green jest podły. Użył Izi, aby wywrzeć wpływ na Alfreda.

MÓZGOWICZ

Przecież to jest drukowane. Wiem co będzie dalej. Aby uniemożliwić mi działanie, przedstawiono mnie,

jako człowieka, rezygnującego z nieskończonego szeregu klas liczbowych. Chcę postawić granicę klas. Ogólnego dowodu jeszcze nie mam. Ale liczność t. zw. Tumor-jeden jest najwyższą licznością, jaka być może. Szeregu Tumorów nie stworzy nikt, nawet umysł nadskończony, umysł samego Boga.

IRENA

(pada przed ojcem na kolana)

Papusiu! Ja niechcę o tem słyszeć. Coście wy zrobili z Nieskończoności!

MÓZGOWICZ

A więc i ty jesteś przeciw mnie. Niema już Mózgów na świecie. Myślałem, że córka, jedna moja biedna Irusia, mnie uzna. Nie — widocznie wszystkie męki muszą przeżyć do końca. *(Siada na ziemi. Przez chwilę bawi się klockami, poczem zaczyna okropnie, rozpaczliwie płakać. Prawie wyje w histerycznych łkaniach).*

(Wszyscy stoją skamienieli ze zgrozy i bolesti).

IZIA

(obejmuje Mózgowicza, Green zalamuje ręce z rozpacz)
Teraz cię kocham naprawdę. Chciałam tylko raz widzieć twoją słabość. Minęły czasy ujarzmiania siłą demonicznych kobiet. Jestem demonem!

(Zrywa się i płomienistym wzrokiem przeszywa obecnych, a nawet nieobecnych)

Jestem kapłanką Izidy. To ja tańczyłam naga ze słonecznikiem na czole. To ja ukorzyłam lorda Persville, największego demona z Em. Si. Dzi. Eu. Green! Nędzny flaku, 45 razy zdradzony: lord Persville, twórca geometrii, którą tylko w funkcjach przerywanych, ponadskończonych, analitycznie przedstawić można, wił się u nóg moich, jak zdeptany robak. Ja nie spałam nocami. Pracowałam, jak 40 wołów parowych. Tumorze! Ja udawałam niewiedzę, aby raz ujrzeć twoją słabość. Wiem wszystko! Znam teorię zmiennych w sposób ciągły liczności!

(Green wije się w okropnych cierpieniach. Izia znowu obejmuje Tumora)

Ja jedna go kocham naprawdę. Nie wiecie co przeszłam.

IRENA

Podła!

GREEN

(wyje dziko)

A! Gadzina!!!

ALFRED

A, ja! Ojczy, uczyłeś mnie fałszywej matematyki. Ta futurystyczna dzierlatka więcej wie odemnie.

MAURYCY

Iziu! Więc twoje wiersze są skłamane! Och, ja tego nie przeżyję.

(Balantyna patrzy na to z lodowatym spokojem, trzymając w rękach szlochającą Rozhulantynę. Maurycy pada na ziemię i płacze niepowstrzymanie)

MÓZGOWICZ

(odpycha nagłym ruchem Izię, która wali się na ziemię obok płaczącego Maurycego) (wstając, mówi do Izi)

Precz odemnie! Nie znam cię i nienawidzę. Myślałaś, że mnie tem upodlisz, mnie, ojca siedmiu synów i niesłychanej ilości córek? Precz, małpo!

ROZHULANTYNA

(przestaje płakać i nagle zanosi się dzikim śmiechem tryumfu)

Dobrze jej tak. Niech zginie przekłęty ród Krzeczbor-skich.

MÓZGOWICZ

(stoi, jak zraniony tur, który niemoże upaść przez ambicję tylko)

Jestem sam zupełnie. Skąd mam tę siłę, nikt się z was nie dowie, a i ja sam niewiele więcej wiem od was.

ROZHULANTYNA

Nie będziesz moim, nie bądź niczym. Ojciec Mózgowcze: jesteś naprawdę wielkim.

ALFRED

(z rozpaczą)

I ja tyle czasu uczyłem się fałszów! Cały mój egzamin

z transcendentalnej dynamiki jest podłą farsą. Ale któż są ci zbrodniarze w Akademji? Któż są ci, *(wskazuje na Greena)* któż są te kanalje z Em. Si. Dzi. Eu. Takich potworów nie nosiła jeszcze ziemia na sobie. Och, gdybym mógł wydrzeć mózg mój z czaszki, gdybym mógł na nowo to zrozumieć.

(Maurycy uspokaja Izię, która podnosi się z uśmiechem)

MAURYCY

(wstając razem z nią)

Będziemy pisać razem wiersze. Wszystko da się jeszcze odrobić.

IZIA

Moryś: ratuj mnie. Ty jeden możesz. Tylko czy to nie będzie powtórzeniem wszystkiego, co już było raz kiedyś?

MAURYCY

Nie, Iziu. Pamiętasz naszą rozmowę na zielonej kanapie wczoraj? Pamiętasz, coś mi powiedziała?

IZIA

Że nieskończoność jest to wywrócona do góry dnem osobowość. To były pojęcia twego ojca. Ja muszę to stworzyć w formie czystej.

MAURYCY

(obejmując ją)

Razem to stworzymy. To jest przeciwwaga dla intelek-

ktualnego obłądu. Stworzymy ślicznego, szarego ptaszka, który uleci w Nicość. Bez żadnych tęczy i kolorów. Rozumiesz? Ja wiem na to sposób.

MÓZGOWICZ

(zimno)

Sztuczne uproszczenie.

IZIA

Nieprawda! Niewolno panu mówić, o sztuce. Ja wierzę w geniusz Morysia.

MÓZGOWICZ

(wyjmuje notatnik i coś zapisuje)

Mogę nie mówić o niczem. Ach! Jak sobie przypomnę, że mogłem pisać wiersze, zimno mi się robi ze wstydu. Jutro jeszcze ożenię się z Balantyną Fermor i wyjeżdżamy do Australji.

(Green, który bazyliiskowym wzrokiem obserwował Izię i Morysia, nagle podchodzi do Rozhulantyny)

GREEN

Pani! Mam dziwne przeczucie, że okręt, którym jadą moi bracia na wojnę, zatonie dziś w nocy. Chcesz pani zaraz zostać markizą of Fifth-Maske-Tower — dobrze.

Nie — możemy poczekać.

ROZHULANTYNA

Ależ, panie Alfredzie. Tak zaraz niemożna.

GREEN

Dobrze, możemy poczekać. Ale business jest zrobiony. *(do Mózgowicza)* Panie profesorze! Zapomnijmy o wszystkim. Mogę cię uwięzić zaraz. Ale wierzę, że po tem wszystkim będziesz pan rozsądnym. Tylko pośmiertne wydanie będzie zawierać dowody ostateczne. Przez powolną dyskusję, ludziska oswoją się nareszcie z tym problemem. *(Smutnie)* I ja również, mam nadzieję.

MÓZGOWICZ

Stop that nonsense, Alfred. Jesteś wcale inteligentnym chłopcem. Lepiej powiedz, kiedy odchodzi „Eurypides“ z Green Star Line i zamów kabinę na dwie osoby. Umówiłem się z Maharadźdzą Pendżaru na pokera na statku.

GREEN

Widzę, że czas stanął dla pana, panie profesorze, na prawdę. „Eurypides“ odszedł 2 tygodnie temu. Dziś odchodzi „Eurigona“, a Pendżar jedzie za 2 tygodnie na „Euripontesie“. To jest „materją faktu“. Cieszę się, że Europa odetchnie trochę. Zamówić więc kabinę?

MÓZGOWICZ

(do Balantyny)

Zgadzasz się za dwa tygodnie?

BALANTYNA

(przeży się w oczekiwaniu nieznanych rozkoszy)

Naturalnie. Z tobą Tumorze, nawet te 2 tygodnie w Eu-

ropie będą nadludzką rozkoszą. Ale pozwól, że oddam ci się definitywnie na statku dopiero. Chcę, aby wróciły dawne nastroje. Fitz - Gerald starał się przecieżyć o mnie. Razem z nim widziałam pierwszy raz Krzyż Południowy i hyper-słońce, strasznego Canopusa. Kiedy wejdzie po raz pierwszy Canopus, będę twoją. Jakże długo męczyłam się dziewictwem. Tylko sport uratował mnie od Persvilla. Czy wiesz, że ten demon, jak małe dziecko, błagał mnie o litość.

(Green szepcze z Rozhulantyną)

MÓZGOWICZ

(do Balantyny)

Teraz nic mnie to już nie obchodzi. Na szczęście, nie-wiesz nic o matematyce. Będiesz moim ostatnim kompresem na głowę, na inołą starą, biedną mózgownicę. Ale kochać cię będę jak młodzieniec, jak rozszalały chłopczyk.

(Balantyna opiera się o niego z uśmiechem; oboje stoją, jak posągi)

GREEN

Wychowamy ci synów na zdrowych, tęgich matematyków, profesorze. Jeden Moryś się nie udał. Ale to jest właśnie rodzaj ekspjacji.

IZIA

Morysia ja biorę na siebie. Takiego dekadenta nie było jeszcze na żadnej planecie. W przypadkowości sztuki

on utożsamia wszystkie absolutne wartości, w malutkiem,
zamkniętem w sobie, kółku.

ALFRED

Ojcie, przebaczam ci wszystko. Bądź szczęśliwy. Znajdę
sobie jakąś przyzwoitą panienkę i zacznę nowe życie.

(Mózgowicz nagle łapie się za serce)

MÓZGOWICZ

(niespokojnie)

Tak mi dziwnie pusto w piersiach *(krzyczy)* Patakulo!
Nie patrz tak na mnie! *(pada, jakby rażony gromem)*

(Balantyna wydaje dziki okrzyk trwogi. Wszyscy rzucają się do Mózgowicza).

(Green bada mu puls. Wstaje. Wszyscy czekają w straszliwym napięciu).

GREEN

Nie żyje. Ostatni dowód nie będzie więc znany nikomu.

BALANTYNA

*(rzuca się na trupa Mózgowicza z dzikim śmiechem.
Inni stoją, jak wkopani w ziemię)*

I oto spełnił się mój dziewiczy sen. Idźcie na spacer,
dzieci. Taka wiosna jest, jak wtedy Zielenią się puszeki
na młodych gałązkach i ciepło przenika spłowieły błękit
i pajęcze chmurki na niebie. Idźcie i mnie zostawcie
z nim samą. *(Śmieje się łagodnie i cicho).*

(Green podaje rękę Rozhulantynie, Morys Izi, Alfred obejmuje zmartwiałą z bólu Irenę i tak, po kolei, wychodzą w milczeniu przez drzwi środkowe)

(Balantyna nagle wstaje i rozpręża się rozkosznie).

BALANTYNA

Nikt niewie tego, że ja też zajmowałam się matematyką tylko i znam wszystkie problemy Tumora.

(Drzwi na lewo otwierają się i wchodzi Persville. Podchodzi do Balantyny)

Arthur! Arthur! Moje szczęście, moje życie, moje wszystko!

(Balantyna obejmuje go w dzikim szale).

PERSVILLE

(zimno)

Teraz jesteś moją. Jedziemy do Australji. W tej chwili telefonowałem. Jestem mianowany gościnnym profesorem w Port-Peery. Teraz zastosujemy jego teorię do mojej geometrii i stworzymy prawdziwą transcendentalną dynamikę. Nie tę, którą się zajmują w Akademji, i z której dwa razy obcinał się już Alfred.

Prawdziwą, kochanko, prawdziwą.

(Balantyna śmieje się rozkosznie, nieprzytomna zupełnie).

Kurtyna.

KONIEC AKTU III. I OSTATNIEGO.

Biblioteka Główna UMK



300044884270